
**KULTURA
i
SPOŁECZEŃSTWO**

POLSKA AKADEMIA NAUK
KOMITET SOCJOLOGII
INSTYTUT STUDIÓW POLITYCZNYCH
2014, nr 4

ZYGMUNT BAUMAN
University of Leeds, emeritus

SŁÓW PARĘ O ZNACZENIU DZIEŁA ELŻBIETY TARKOWSKIEJ

„Co trzecie dziecko w Polsce rodzi się w biedzie lub nędzy. Według prognoz w tym roku problem dotknie 132 tys. najmłodszych obywateli. Jak informuje «Rzeczpospolita», powołując się na prognozy resortu pracy, w 2013 r. urodzi się w naszym kraju ok. 390 tys. dzieci. Blisko 35% (132 tys.) z nich przyjdzie na świat w rodzinach, w których miesięczny dochód na osobę nie przekracza 539 zł. To poziom pozwalający zaspokoić jedynie bardzo podstawowe potrzeby życiowe. Tzw. minimum egzystencji wynosi ok. 500 zł na osobę. Jednorazowy dodatek socjalny przysługujący najuboższym to obecnie 1000 zł”.

Elżbieta Tarkowska, „Nowy Obywatel”, 6 lutego 2013

Powyżej jeden z nieprzeliczonych sygnałów wysyłanych regularnie od wielu już lat przez Elżbietę Tarkowską, płomienną a nieustępliwą orędowniczkę prawa ubogich, upośledzonych, skrzywdzonych, odtrąconych i wykluczonych do ludzkiej godności i do życia skrojonego na miarę tej godności; prawa, jakiego nasze społeczeństwo wraz z pozostałymi społeczeństwami im odmawia, jeśli nie w słowach, to w czynach — lub w ich braku. Jej nieustające *sine ira et studio* badania stanu i następstw ubóstwa oraz oparte na nich apele nękają i dręczą sumienia, burząc spokój ducha i budząc z uspienia naszą niezbywalną odpowiedzialność moralną za losy Innych — a więc, i to przede wszystkim, także za trapiącą ich niedolę.

Nikt z żyjących nie wie chyba tyle co Elżbieta Tarkowska o stanie, przyczynach i dynamice ubóstwa w Polsce i o jego katastrofalnych następstwach rujnu-

jących umysł i wolę ludzi nim dotkniętych i ich potomstwa. A już z pewnością nikt nie usiłował gorliwiej niż ona, by — zebrawszy wokół siebie grono młodych badaczy i działaczy społecznych równie jak ona sama przejętych sprawą i zapalonych do jej lepszego rozpoznania, a zatem i jej skuteczniejszego rozwiązywania — uczynić z problemu nierównego a niesprawiedliwego podziału ludzkich szans i upośledzeń jedno z centralnych zainteresowań polskiej socjologii, a za jej pośrednictwem także doprowadzić go do świadomości publicznej i uczynić zeń przedmiot publicznego dyskursu i publicznej troski.

Aby lepiej jeszcze sobie ogromną wagę dokonań Elżbiety Tarkowskiej uświadomić, zważmy, że niedole bytowe i upokorzenia społeczne ponoszone przez ubogich wyrządzają też trudne do podliczenia szkody reszcie społeczeństwa. Pomniejszanie ich doniosłości i pozostawianie ich bez środków zaradczych rodzą znieczulicę moralną i obniżają tętno etyczne ich świadków; szukając skwapliwie usprawiedliwienia z własnego zaniedbania, a więc pośrednio także uczestnictwa w moralnie nagannym procederze, skłonni będą ci świadkowie uciekać się do fałszu, samozakłamania i hipokryzji. Jak odnotowuje prof. Tarkowska (powołując się na Katarzynę Kowalczyk): „Sondaż «Polacy o skali ubóstwa w kraju», przeprowadzony przez CBOS w marcu 2012 roku, potwierdza wzmacniającą się tendencję do obarczania odpowiedzialnością za biedę samych biednych, co znajduje wyraz w rosnących odsetkach odpowiedzi wskazujących na niezaradność życiową, bezradność, alkoholizm i lenistwo jako przyczyny — zdaniem badanych — pozostawiania w biedzie, przy malejących odsetkach wskazań na bezrobocie, brak wsparcia ze strony państwa czy niskie emerytury i renty jako źródło niekorzystnej sytuacji”¹.

A przypomnijmy, że — jak to ujął Stanisław Ossowski w innym wprawdzie, ale porównywalnym kontekście — nośność mostu mierzyć trzeba nośnością najslabszego z jego przęsł, a nie przeciętną ich nośności; i że rosnąca masa badań dociekających związku między skalą społecznych nierówności a natężeniem najróżnorodniejszych patologii ogólnospołecznych (w tym fundamentalne studium syntetyczne Richarda Wilkinsona i Kate Pickett²) w pełni potwierdza aktualność napomnienia przekazanego nam w spadku przez najwnikliwszego z polskich socjologów. Przypomnijmy też inne ostrzeżenie, jakie wyszło ostatnio z pod pióra profesora Oksfordu Daniela Dorlinga:

„Nierówność społeczna trwa w bogatych państwach z powodu trwającej wiary w słuszność przekonań tkwiących u podłoża niesprawiedliwości, i wielu ludzi zaszokować może wiadomość, że coś może być nie jak należy ze znaczną częścią ideologicznej tkanki społeczeństwa, w którym żyjemy. Podobnie niegdysiejszym właścicielom niewolniczych plantacji, którzy w czasach niewolnictwa przyjmo-

¹ Elżbieta Tarkowska, *Wprowadzenie*, w: Elżbieta Tarkowska (red.), *Dyskursy ubóstwa i wykluczenia społecznego*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2013, s. 12.

² Richard Wilkinson, Kate Pickett, *The Spirit Level: Why More Equal Societies Almost Always Do Better*, Allen Lane, London 2009.

wali swe posiadłości za rzecz naturalną, i tak jak dla przeciwników przyznania praw wyborczych kobietom, uzasadniającym swą odmowę prawem natury, dla wielu naszych współczesnych ogromne niesprawiedliwości naszych czasów są po prostu fragmentem krajobrazu normalności”³.

A rezultat? Jak to w 1999 roku zauważył nigeryjski ekonomista Sam Aluko: „biedni nie mogą spać, bo są głodni, a bogaci nie mogą spać, bo biedni nie śpią z głodu”... Donald Kaberuka, ekonomista z Rwandy⁴ wyjaśnia: megamiasta w rodzaju Mumbaju, Nairobi czy Kinszasy są w istocie małymi miastami otoczonymi przez olbrzymie slumsy — „wysepkami bogactwa w morzu rozpacz”. Kaberuka spodziewa się dołączenia do obecnych mieszkańców miast jeszcze przed 2030 rokiem dodatkowych dwu miliardów siedmiuset milionów wiejskich nędzarzy — głównie, choć nie tylko, w krajach „rozwijających się” (jak je w „politycznie poprawnym” języku pospolicie, choć myląc się nazywa). Wielkie miasta w Europie mogą się szczycić lepszymi warunkami życia dla swych najuboższych mieszkańców niż te, na jakie mogą liczyć stłoczeni w slumsach Mumbaju czy Kinszasy, ale i w Londynie, jak Kaberuka przypomina, „gdy przejeżdżasz metrem sześć mil (czternaście przystanków) na wschód od Westminsteru, siedziby brytyjskich władz, średnia przewidywalność życia miejscowych mieszkańców spada z każdym przystankiem o sześć miesięcy”...

Czas zatem najwyższy, by wraz z Elżbietą Tarkowską szukać odpowiedzi na jej z każdym dniem aktualniejsze i bardziej palące pytania: „Jak świat dostatku traktuje ludzi biednych? Co się o nich mówi, pisze, myśli? A patrząc od drugiej strony: co myślą i co czują ludzie żyjący w ubóstwie? Jak reagują na sytuację biedy? Jak sobie z nią radzą psychicznie, jak ją przeżywają? Z jakimi postawami wobec biedy się stykają? Jak odbierają to, co na ich temat mówi się publicznie”⁵ — o ile, rzecz jasna, to, co się publicznie mówi, do nich dociera, zważywszy że „[...] w dyskursie nierówności społecznych człowiek biedny jest anonimowy, odległy, uprzedmiotowiony. Jest człowiekiem przegrany, zagubionym w nowej rzeczywistości, zdezorientowanym, wyczekującym, pasywnym”⁶. Czy człowiek biedny pojmie, iż to o nim w tym dyskursie mowa? Czy się potrafi rozpoznać w owym abstrakcyjnym malowidle na kurtynie przesłaniającej widok z okna?

Bieda to nie tylko sprawa ubogich. Badając ją, Tarkowska obnaża dolegliwości o ogólnospołecznej wadze i zasięgu, docieka źródeł zła w sposobie funkcjonowania społeczeństwa i szuka poczynañ społecznych zdolnych złu zaradzić lub przynajmniej ograniczyć zgubne jego następstwa.

³ Daniel Dorling, *Injustice: Why Social Inequality Persists*, Policy Press, Bristol 2011, s. 13.

⁴ Zob. *The Inequality Nightmare*, „Guardian Comments” z 13 stycznia 2014.

⁵ Elżbieta Tarkowska, *Wprowadzenie. Dyskursy ubóstwa i wykluczenia społecznego*, s. 19.

⁶ Elżbieta Tarkowska, *Bieda, ubóstwo i inne kategorie dyskursu akademickiego w Polsce*, w: Elżbieta Tarkowska (red.), *Dyskursy ubóstwa i wykluczenia społecznego*, s. 74.

*

Bieda w „świecie dostatku” to w ostatecznym rachunku nie sprawa braku dóbr, lecz problem społecznej nierówności. A nierówność owa z kolei jest produktem (zamierzonym czy ubocznym) wyboru zasad, na jakich wspieramy i jakimi tłumaczymy sobie i innym zróżnicowanie wymiaru uprawnień i szans, czyli pozycji społecznych oraz nierówny przydział dóbr ludziom do owych pozycji przypisanym, przez nich zdobytych lub w nie wtrąconych. Zasady owe, winne logicznego błędu *petitio principii*, przyjmują za wyjaśnienie to, co winny wyjaśniać. Tak się bowiem rzeczy w istocie mają, że aktualny wzrost nierówności społecznej wynika w ostatecznym rachunku z działań ludzkich, a więc ludzkie też działania zdolne są ją przykrócić. Jak to wyraził wielki powieściopisarz, ale i tegi filozof J. M. Coetzee — jedynym celem zawodnika w biegach jest wprawdzie wysforowanie się do przodu i pozostawanie na czele wyścigu, ale „pytań, czy życie musi być przyrównane do zawodów albo dlaczego gospodarki narodowe muszą się ze sobą ścigać miast zgodnie, po towarzysku pobiegać gwołi zdrowia, się nie zadaje”. A wszak, zauważa Coetzee, na zdrowy rozsądek się powołując, „wojowanie nie jest koniecznością. Jeśli chcemy wojny, możemy ją wybrać, ale jeśli chcemy pokoju, możemy go wybrać równie dobrze. Jeśli pragniemy konkurować, możemy wybrać konkurencję — ale wszak możemy też kroczyć drogą przyjacielskiej współpracy”⁷. W tym jednak szkopuł, że ci, co łakną wojny albo nieprzyjacielskiej rywalizacji, dopinają zazwyczaj swego — z reguły kosztem tych, którzy woleliby pokój i przyjacielską współpracę, a z pewnością nie pytając ich o przyzwolenie... Zważmy przytem, że ta ogólna reguła nie omija krajów akceptujących zasady demokracji. Ani też krajów wśród nich najzasobniejszych, zdolnych z racji swego bogactwa do tego, by ustrzec wszystkich swych mieszkańców przed plagą i cierpieniem ubóstwa.

W wydanej ostatnio książce *Capital in the Twenty-First Century*⁸ Thomas Piketty — przedstawiony przez Paula Krugmana, wybitnego publicystę „New York Timesa”, jako być może czołowy dziś w świecie znawca nierówności dochodów i majątków⁹ — wysuwa tezę o odbywającym się na naszych oczach powrocie świata do „patrymonialnej” wersji kapitalizmu — do takiej jego odmiany, w której przy rozdziale bogactw i obsadzaniu szczytowych pozycji „urodzenie waży więcej niż wysiłek i talent”. Jak to w jej zwyczaju, i w tym przypadku Ameryce przypadło wieść prym. O zajęciu szczytowych w skali za-
możności i wpływów pozycji w coraz większym stopniu decyduje w Stanach Zjednoczonych bogactwo odziedziczone; coraz liczniej wśród jednego pro-

⁷ J. M. Coetzee, *Diary of a Bad Year*, Vintage, London 2008, s. 79, 81 (wyd. pol. *Zapiski ze złego roku*, tłum. Michał Kłobukowski, Znak, Kraków 2008).

⁸ Belknap Press 2014.

⁹ Zob. Paul Krugman, *Wealth over Work*, „New York Times” z 23 marca 2014.

centa najbogatszych Amerykanów reprezentowani są dziedzice rodzinnej fortuny — kosztem tych, których zamożność pochodzi z uposażeń, bonifikat czy gratyfikacji. Zdaniem Krugmana, Stany Zjednoczone przeobrażają się w społeczeństwo oligarchiczne.

Drogę do szczytu znacznie szerzej otwierają dziś nagromadzone majątki niż najbardziej nawet forytowana i sownie opłacana praca. Jeśli w 1979 roku jeden procent najbogatszych przywłaszczał sobie 17% dochodów z interesów, w roku 2007 ten sam ułamek amerykańskiej ludności przyswajał już 43% owych dochodów, ale — jak wypadało się spodziewać — znacznie więcej, bo aż 75%, zysków z kapitału. Sygnalizowana przez te dane tendencja w ostatnich latach nabiera rozpędu w rezultacie polityki podatkowej nacelowanej na wzbogacenie najbogatszych przy równoczesnym kurczeniu się dochodów wszystkich pozostałych. Jak podaje Krugman, za rządów George W. Busha obniżono wprawdzie najwyższy wymiar podatków dochodowych dla wszystkich, z 39,6 do 35% — ale opodatkowanie dywidend od kapitału, odpowiednio w tym celu w tabeli podatkowej przeszeregowane, spadło do 15%, podczas gdy podatek majątkowy zniesiono całkowicie. Nierówność w dochodach, a bardziej jeszcze w stopniu życiowego zabezpieczenia, rośnie w Ameryce nadal w tempie iście zawrotnym — a to na skutek nie tyle „praw natury”, ile praw przez ludzi stanowionych: na skutek polityki fiskalnej i społecznej, jaka bez zahamowań chroni wielkie fortuny przed uszczupleniem, obcinając równocześnie bezlitośnie zasiłki dla rosnących rzesz długofalowych bezrobotnych (redakcja „New York Timesa” ocenia, iż bezrobocie wyniosłoby w Stanach Zjednoczonych w lutym 2014 10%, a nie 6,7% jak oficjalnie podano, gdyby do oficjalnej liczby bezrobotnych dodano 5,7 milionów pracowników o przeterminowanych prawach do zasiłku), bony żywnościowe i inne świadczenia społeczne. Wzrost nierówności społecznych oraz obszaru ubóstwa jest obecnie rezultatem państwowej polityki, kurczenia się płac oferowanych przez „nowe miejsca pracy” i ogólnej dewaloryzacji zarobków robotniczych.

Innymi słowy: to ludzie ludziom ten los zgotowali, i w ludzkiej mocy jest los ten odmienić. Jak podaje David Coates¹⁰, jeśli pięćdziesiąt lat temu, w czasie wydania przez prezydenta Lyndona Johnsona „wojny ubóstwu”, 19% obywateli amerykańskich bytowało poniżej progu nędzy; to w ciągu następnych dziesięciu lat udało się, dzięki konsekwentnej polityce federalnej, obniżyć ów procent do 11,1. Po oświadczeniu Ronalda Reagana że „w wojnie z ubóstwem ubóstwo zwyciężyło”, będącym sygnałem do złożenia przez rząd broni, trend ów odwrócono jednak o 180 stopni. Dziś liczba obywateli wegetujących poniżej oficjalnie uznanego progu ubóstwa znów sięgnęła 15%. Co piąty Amerykanin rodzi się obecnie i spędza swe dziecięce lata w nędzy. Konkluzja naprasza

¹⁰ *America's War on Poverty, America's War On The Poor* (http://www.social_europe.eu/author/david-coates).

się sama. By zacytować Coatesa: „Znaczna większość Amerykanów żyjących dziś w ubóstwie tkwi w ubóstwie wbrew swym najlepszym wysiłkom. Są oni ubodzy, ponieważ świadczenia społeczne są ubogie i ograniczone. Są ubodzy, ponieważ niskopłatnej pracy [...] nie starcza na to, by się z ubóstwa wydobyc. I są ubodzy dlatego, że olbrzymia skala wymuszonego bezrobocia (na każde dostępne miejsce pracy przypada dziś trzech bezrobotnych) nieustannie wykrusza bezrobotnych z szeregów amerykańskich klas średnich”. Najbliższe perspektywy pozostają mroczne i zapowiadają dalsze pogorszenie sytuacji: jak donosi „New York Times” w innym artykule wstępnym¹¹, co tydzień 72 tysiące bezrobotnych powiększają nader już liczne grono ludzi pozbawionych prawa do zasiłku. Sytuacja zaś szczęśliwców, którzy pracy nie utracili, również nie zabezpiecza przed popadnięciem w ubóstwo — a to z racji odmowy podwyższenia płac ustawowo minimalnych; urzędowa płaca minimalna, tradycyjnie ustalana na poziomie połowy płacy średniej, dziś sięga tylko jednej trzeciej płacy przeciętnej, co rzecz jasna jest receptą na mnożenie prac niskopłatnych i przed ubóstwem nie chroniących.

Degradacja do rzędu wykluczonych i swego wykluczenia świadomych dotknęła dotychczas osobiście tylko ułamek (choć i spory) społeczeństwa amerykańskiego oraz innych względnie dostatnich społeczeństw, ale jej możliwość czy wręcz prawdopodobieństwo są koszmarami nękającymi coraz liczniejsze zastępy „klas średnich”, niegdyś, ale już nie dziś, znanych ze swej energii życiowej i z życiowego optymizmu wynikłego z niezachwianego przekonania o namacalności „amerykańskiego snu”. Psychika, świadomość kierunku, w jakim rzeczy podążają, wyprzedza tu realia osobistego życia. Granica między solidnie w życiu (jeszcze?) okopanymi klasami średnimi a tymi (już?) wtrąconymi, zdawałoby się, bezpowrotnie, w otchłań deklasacji — granica niedawno jeszcze pilnie a skutecznie strzeżona i nie bez kozery postrzegana jako nieprzekraczalna — zaciera się dziś w życiu codziennym, a jeszcze szybciej w społecznej świadomości. Nowa kategoria społeczna „prekariatu” (kategoria istot żyjących na ruchomych piaskach, w jakim to życiu każdy stan rzeczy jest nietrwały, a każde dobro odwołalne) rozpełza się i rozbija namioty po obu stronach owej granicy pod wpływem postępującego przeredzania, a bardziej jeszcze spodziewanej likwidacji posterunków pilnujących jej nieprzekraczalności. Zaliczenie do tej nowej kategorii jest rzeczywistością rosnącej części klasy średniej — i widmem unoszącym się nad całą jej resztą.

Przypomnijmy raz jeszcze poradę czy nakaz wynikające z cytowanego wyżej napomnienia Stanisława Ossowskiego: jeśli chcesz ocenić jakość ogólnospołecznego bytu, zbadaj jakość bytu najślabszego jego sektora. I to właśnie Elżbieta Tarkowska od lat czyni, uparcie a owocnie, i tą miarą należy mierzyć wartość jej dokonań.

¹¹ *No Jobs, No Benefits, and Lousy Pay*, „New York Times” z 10 stycznia 2014.

*

Obnażywszy zaś źródła zła — co można/trzeba uczynić, by je zatamować? I jakimi zasadami w tym wysiłku się kierować? O czym pamiętać?

Wydając wojnę ubóstwu, wspomniany już tu prezydent Johnson tak swą decyzję uzasadniał: człowiek głodny, nie mogący znaleźć pracy ani wykształcić swoich dzieci, człowiek nędzą zmożony, nie jest człowiekiem wolnym. O wolność ludzką Johnsonowi szło, wolność człowieka była stawką w wojnie wydanej nędzy. Redystrybucja społecznych zasobów była w jego pojęciu nie celem samym w sobie, lecz środkiem doń prowadzącym — do rzeczywistej, a nie formalnej tylko wolności; a i do jego osiągnięcia niezbędnym. A znów Williamowi Beveridge, który ogłosił w 1942 roku sprawozdanie z prac powołanego przez brytyjski rząd koalicyjny komitetu do spraw społecznego ubezpieczenia, też o tę wolność szło, gdy proklamował brud, ciemnotę, biedę, bezczynność i chorobę jako pięć rodzajów „wielkiego zła” i zalecił w swym sprawozdaniu stworzenie systemu społecznego przed nimi ubezpieczenia. Beveridge nie był socjalistą — lecz przekonany i konsekwentny liberał. Z tego właśnie powodu wierzył, że bez żyrowanego przez państwo powszechnego i wszechstronnego ubezpieczenia obywateli przed przypadłościami złego losu i klęskami życiowymi — wszystkich razem i każdego z osobna — nie da się liberalnego programu w pełni zrealizować. Celem liberalizmu jest wolność samostanowienia jednostki: ale w społeczeństwie roi się od jednostek, którym do samostanowienia nie starcza posiadanych zasobów, umiejętności, wiedzy, siły fizycznej i duchowej, a w wyniku gorzkich doświadczeń osobistych także przekonania oraz energii. By wybicie się na wolność owym jednostkom umożliwić, trzeba wpierym zmierzyć się z pięcioma „wielkimi złami”, jakie im drogę do wolności zagrażają — a bez pomocy społecznej zmagać się będą z nimi bezskutecznie i pokonać ich nie potrafią.

Wreszcie: w wygłoszonym 6 stycznia 1941 r. „State of the Union Address” Franklin Delano Roosevelt obok wolności mowy i wiary wymienił wolności od nędzy i strachu jako fundamentalne dla demokracji. Rozszyfrowując swój postulat, za cele przyświecające obrońcom tych wolności w toczącej się wojnie światowej uznał powszechną dostępność szans ekonomicznych, zatrudnienia, społecznego zabezpieczenia i należytej opieki zdrowotnej. Podobnie jak Lord Beveridge i Lyndon Johnson, Roosevelt nie formułował programu socjalistycznego. Przemawiał w imieniu demokracji liberalnej, mając na myśli jej obronę przed śmiertelnym w owym czasie zagrożeniem i zwycięstwo nad jej wrogami. Rzec można, parafrazując nieco zasadę Ossowskiego, iż zdaniem Roosevelta — zdaniem, którego słuszność złowróżbny uwiąd zaufania do demokracji i wzbierająca fala antydemokratycznych i antyliberalnych w istocie nastrojów z nadwyżką dziś potwierdzają — kwestia, czy społeczeństwo udźwignie niebłahy wszak ciężar demokratycznego ustroju i realizacji liberalnego programu, zależy od mocy nośnej najsłabszego z jego przeseł...

Tej garści przypomnień prawd na poły dziś zapomnianych, a na poły zbywanych albo i negowanych trzeba nam, by wieloaspektowe znaczenie dokonań Elżbiety Tarkowskiej ocenić w pełni i w wystarczająco dla tej oceny obszernym wymiarze.